

S O F I A
CASPARI

w krainie
kolibrów

tłumaczenie

PAULINA FILIPPI-LECHOWSKA

fragment książki



OTWARTE

KRAKÓW 2015

Tytuł oryginału: *Im Land des Korallenbaums*

Copyright © 2011 by Bastei Lübbe GmbH & Co. KG, Köln

Opracowanie typograficzne książki: Robert Oleś

Projekt okładki: Eliza Luty

Promocja książki: Ewa Sajek



OTWARTE

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

*

Następnego dnia Viktoria obudziła się wczesnym rankiem. Przez szczelinę między zasłonami widziała z łóżka wschodzące słońce. Z każdą minutą sypialnia wypełniała się ciepłym, złocistym światłem. Przeciągnęła się błogo. Po raz pierwszy od długiego czasu cieszył ją nadchodzący dzień. Poleżała jeszcze chwilę, potem wstała i nieco uchyliła zasłonę. Z okien swojego pokoju miała widok na ogród. Za nim, jak się już przekonała, rozciągała się rozległa przestrzeń andyjskiego pogórza. Po prawej stronie znajdowały się pola tytoniowe, po lewej zaś było pastwisko przeznaczone dla zwierząt Humberta. Wychyliwszy się nieco, można też było dostrzec narożnik najstarszych zabudowań.

Pierwsze siedziby musiały być w stanie stawić czoła napaściom Indian, stąd bardziej przypominały baszty. Dawny dom Santosów także przypominał tamte czasy. Fragment Santa Celia otaczały wysokie, grube mury z cegły. Wysoko na górnym piętrze znajdował się balkon, z którego można było wypatrywać potencjalnych napastników.

Viktoria postawiła stopy na ciepłym parkiecie. Naprawdę czuła radość. Pierwszy raz od dawna cieszył ją nadchodzący dzień. I nie zmieni tego nawet wspólne śniadanie. Jakoś je przeżyje. Po prostu nie będzie zwracać uwagi na przytyki dońii Ofelii. Ten dzień będzie naprawdę szczególny. Nagle poczuła się jak

wtedy, gdy jeszcze w dzieciństwie w dzień Bożego Narodzenia matka zaprowadziła ją przed właśnie udekorowaną choinkę. Wieczorem napisze do rodziców i tym razem nie będzie musiała kłamać na temat swojego samopoczucia. Wszystko było dobrze. Uśmiechnęła się w duchu.

Kiedy godzinę później zjawiała się u niej pokojówka Rosita, Viktoria nadal siedziała przy oknie. Młoda Indianka w milczeniu odszukała dla niej odpowiedni strój na śniadanie. Viktoria była też rada, że tej nocy Humberto oszczędził jej swojej wizyty. Dawno już zdążyła przeboleć utratę jego zainteresowania.

Wstała powoli i podeszła do jednego z obrazów olejnych zdobiących ściany jej pokoju. Widniała na nim estancja Santosów, wprawdzie jeszcze nie tak rozbudowana, ale dokładnie ta sama, która dziś stała w otoczeniu wspaniałego ogrodu pośrodku olbrzymiej posiadłości. Choć na obrazie nie było tego widać, dawna Santa Celia nieraz musiała odpierać straszne ataki najeźdźców. Podobne estancje nazywano też *fortines*, czyli małymi fortecami. Przyjrząwszy się bliżej, Viktoria dostrzegła na obrazie młyn oraz mydlarnię, które ostały się do dziś. W tle widniała góra, która tak ją zachwyciła poprzedniego dnia. I ten mały koralodrzew nadal stał na drugim patio – tyle że od tamtej pory drzewko bardzo się rozrosło, zapewniając miły cień w upalne dni. Jego pień z biegiem lat stał się gruby i sękaty, pokryty popękana korą odrobinę przypominał gałęzie winorośli. Viktoria wiedziała, że jego spektakularnie czerwone kwiaty wprawdzie nie pachną, ale są pełne nektaru i jak magnes przyciągają kolibry. Pąki kwiatów zawsze przypominały jej dziób flaminga, którego kiedyś widziała w jednej z książek. W okresie kwitnienia koralodrzew zamieniał się w istny krzew gorejący. Należało jednak zachować przy nim ostrożność, ponieważ jego nasiona były trujące.

Viktoria dotknęła ramy obrazu opuszkami palców. Malarzowi znakomicie udało się uchwycić ducha tamtych czasów. Chętnie poznałaby jego nazwisko, lecz nie była go w stanie odszyfrować.

Odwróciła się do Rosity czekającej cierpliwie, aż jej pani zajmie miejsce do ubierania. Niedługo potem Viktoria udała się do jadalni. Już z oddali dobiegły ją głosy domowników i brzęk zastawy.

Najwyższy czas dowiedzieć się więcej o rodzie Santosów. Miała przeczucie, że Pedro Cabezas okaże się w tym bardzo pomocny.

*

Jak zwykle w trakcie śniadania nikt nawet nie próbował wciągać Viktorii w rozmowę. Humberto konwersował z matką, starając się przy tym odgadywać każde jej życzenie. Don Ricardo, w eleganckim garniturze prosto z Paryża, gładko ogolony, nie licząc okazałych wąsów, był zajęty studiowaniem papierów firmowych i nie podniósł znad nich oczu nawet wtedy, gdy Viktoria weszła do pokoju. Jej wzrok spoczął na chwilę na jego srebrnej głowie. Woń wody kolońskiej i tytoniu bijąca od don Ricarda mieszała się z zapachem świeżo zaparzonej kawy. Jej spojrzenie powędrowało dalej.

W jadali także wisiały obrazy tego samego malarza, którego sztuka po raz kolejny podziwiała dziś rano w swoim pokoju. Nie zamieniła z nim słowa i nic o nim nie wiedziała, a mimo to była pewna, że kochał te ziemie. Dostrzegała to w każdym szczególe jego dzieł. Znowu zapragnęła poznać jego nazwisko. Ale don Ricardo również nie potrafił powiedzieć nic bliższego na jego temat. Ot, artysta, który niegdyś zatrzymał się w Santa Celia.

Nieobecna duchem Viktoria sięgnęła po drugą bułeczkę mleczną i maczała jej kawałki w kakao. Od czasu do czasu

rejestrowała spojrzenia teściowej rzucane w jej stronę, ale zdołała jej całkiem je zignorować.

Śniadanie prawie dobiegło końca, kiedy zdarzyło się coś, co zmieniło jego utarty i niezmienny przebieg. Jedna z małych Indianek, niespełna dwunastoletnia dziewczynka, potknęła się o dywan i cała zawartość dzbanka z kakao wylała się na stół i talerz dońii Ofelii. Jej reakcja była natychmiastowa.

– Humberto – powiedziała ostrym tonem.

A on, niczym wytresowany pies, uderzył dziecko z całej siły w twarz. Mała upadła na podłogę ze stłumionym okrzykiem bólu, patrząc trwożnie na Humberta szeroko otwartymi oczami.

– Przeklęty indiański pomiot – warknął.

Viktoria zerwała się z krzesła. Humberto, szarpiąc dziewczynkę, postawił ją na nogi i zamierzał znów uderzyć, ale żona stanęła mu na drodze.

– Wystarczy – powiedziała ze spokojem.

Mężczyzna zmierzył ją zmrużonymi oczami. W jego obliczu było coś budzącego strach, jednak opuścił rękę. Viktoria jeszcze przez chwilę patrzyła mu prosto w twarz, po czym odwróciła się do małej. Dziewuszka spoglądała na nią ogromnymi ciemnymi źrenicami. Z nosa ciekła jej krew, górna warga była opuchnięta i także krwawiła. Viktoria miała ochotę się wzdrygnąć z gniewu i odrazy. Ale tylko przymknęła na moment powieki. Była już opanowana.

– Wybaczcie – zwróciła się do męża i teściów, po czym wzięła dziewczynkę za rękę i wyszła z jadalni.

– Gdzie mnie prowadzić? – zapytało bojaźliwie dziecko.

Viktoria uśmiechnęła się z otuchą.

– Do kuchni, musimy umyć twarz.

– Nie musi. Idzie do męża. Stara pani będzie zła.

Viktoria nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Stara pani już jest zła, więc nic na to nie poradzimy.

Ale mała pokręciła głową.

– Idzie z powrotem – upierała się. – Ja nie zapomnieć, że pomogła.

Popatrzyła na nią uważniej.

– Jak masz na imię?

– Juanita.

– Dobrze, Juanito, teraz pójdziemy do kuchni. Tam umyjesz sobie buzię, a ja daję ci wolne na resztę dnia.

– Stara pani będzie zła.

– Co z tego! – Viktoria starała się przybrać stanowczą postawę. – Ja jestem tu młodą panią.

Juanita popatrzyła na nią swoimi wielkimi oczami, a Viktoria, choć znów jak zawsze obawiała się, że popełnia błąd, czuła jednocześnie, że postąpiła właściwie. Ona jest tu młodą panią. I już najwyższy czas, by zaczęto ją tak traktować.

*

Wbrew przypuszczeniom zarówno teściowa, jak i Humberto powstrzymali się od jakiegokolwiek reakcji, lecz Viktoria obawiała się, że to jedynie cisza przed burzą.

Późnym popołudniem kazała osiedłać Dulcyneę i pojechała na umówione miejsce spotkania. Choć poprzedniego dnia była całkiem pewna tego, że chce się zobaczyć z Pedrem, teraz czuła dziwny ucisk w żołądku. Zawsze kierowała się własną wolą, jednak obecny zamiar wydał się jej w najwyższym stopniu nieestosowny, w dodatku nie do końca wiedziała, czego właściwie spodziewa się po tym spotkaniu – a może tylko nie miała odwagi tego wyrazić. W końcu była mężatką. W dodatku miała dziecko.

Starała się jechać powoli, mimo to na miejscu znalazła się wcześniej, niż zamierzała. Zatrzymała konia przy rzece. Na

skalnym bloku w słońcu wygrzewała się jaszczurka. W oddali dostrzegła tuman kurzu.

Niepewnie poluzowała wstążkę od kapelusza. Następnie odpięła ostatni guzik przy sukni do jazdy konnej, by zaznać nieco ochłody. „Dobry Boże, co pomyślałby ojciec, gdyby mnie teraz zobaczył?”

– Vicky, Vicky – wymamrotała pod nosem. – Coś ty sobie myślała?

– Z kim pani rozmawia?

Viktoria odwróciła się z krzykiem. Pedro wyrósł przed nią jak spod ziemi, tak samo jak poprzedniego dnia.

– To nic takiego. – Zarumieniła się. – Po prostu nad czymś się zastanawiałam.

– Jedziemy?

Przez następne dwie godziny przemierzali okolicę wzdłuż i wszerz. Pedro pokazał jej stado lam – najpewniej to ono wzniecało ów tuman kurzu. Zwrócił jej też uwagę na kondora krążącego ponad ich głowami. Zobaczyła pełne dziur drewno kaktusowe używane tu do budowy domów, ślady kojotów, a nawet pumy, napiła się wody ze źródła i ponownie zapuściła się w pobliże wsi, na którą natknęła się wczoraj. Tym razem jednak Pedro na swoim bułanym koniu poprowadził ich obok. Po chwili znaleźli się przy ruinach murów.

– Ta wieś – powiedział – istniała tu od dawna, jeszcze za czasów Inków. – Zmarszczył czoło, a jego twarz się zasepiła. – Biali nie wiedzą nic – rzucił twardo. – Przybywają tu jak do siebie, ale są głupi, głupi jak małe dzieci.

Viktoria milczała. Słyszała w jego głosie tłumiony gniew, a ponieważ nie wiedziała, jak zareagować, wołała go przeczekać. I rzeczywiście już po chwili na twarzy Pedra pojawił się uśmiech.

– Ale to nie dotyczy pani. Pani jest, pani jest... – Urwał.

Zastanawiała się, co chciał powiedzieć. Podobała mu się? Ta myśl zakiełkowała w niej zniechęca i wzbudziła niepokój. Stanowczym gestem przesunęła ręką po grzbiecie Dulcynie.

– Proszę. – Przechyliła głowę i uśmiechnęła się do niego. – Chciałabym się tam rozejrzeć.

O nic nie pytając, wskoczył na konia i wskazał na wąską ledwie widoczną ścieżkę przed nimi. Czy chciał jej pokazać coś szczególnego?

– Tędy, señora Santos.

Po raz pierwszy Viktoria zapragnęła lepiej mówić po hiszpańsku. Pomyślała, że wtedy na pewno udałoby się jej zmusić go, żeby powiedział to, co teraz próbował ukryć. Wprawdzie nie była tego do końca pewna, ale czuła, że coś przed nią tai. Pojechała do przodu, po czym odwróciła się w stronę Pedra.

– Chciałby mi pan coś pokazać, señor Cabezas?

Uniół brwi, ale nie zaprzeczył. Niedługo potem znaleźli się w czworoboku otoczonym dobrze zachowanymi pozostałościami murów. W jednym z kątów widoczne było palenisko. Po przekątnej leżało prawie nowe posłanie ze słomy. Viktoria rozejrzała się uważnie. Spostrzegła, że Cabezas patrzy na nią wyczekująco.

– Jak tu pięknie – oceniła w końcu to, co zobaczyła. – Czy mogę usiąść?

Pedro bez słowa zaprowadził ją do jednego z kamieni i pomógł ostrożnie na nim usiąść. Sam stanął obok, opierając rękę o mur. Viktoria poprawiła spódnicę. Pręty gorsetu boleśnie wpijały się w ciało, ale nie dała nic po sobie poznać. Pedro spojrział na nią badawczo. Pod wpływem jego bliskości poczuła przeszywający dreszcz.

– Kto to jest Vicky? – zapytał nagle.

Zdumiał ją ton jego głosu. Czyżby dosłyszała w nim zazdrość? Spojrzała na jego pochmurną twarz i wybuchła śmiechem.

Gęste czarne brwi Pedra złączyły się teraz ponad nasadą nosa, tworząc jedną posępną linię.

– Powiedziałem coś śmiesznego? – zapytał szorstko.

– To ja – odpowiedziała Viktoria. – To ja jestem Vicky. Mój ojciec zwracał się tak do mnie, kiedy byłam mała.

Pedro Cabezas milczał dłuższą chwilę.

– Vicky – powtórzył cicho i łagodnie.

Viktoria uśmiechnęła się do niego.

– Mam nadzieję, że nie uważa mnie pan za dziwaczkę, która rozmawia sama ze sobą.

– Nie – odparł krótko. Chyba znów się opanował.

– A pan miał jakieś pieszczotliwe imię? – zagadnęła Viktoria.

Wzruszył ramionami. Nadal stał tuż przy niej. Viktoria zauważyła, jak jej oddech przyśpieszył. Pragnęła, by ją dotknął, a jednocześnie czuła lęk. Nie wolno mu jej dotykać, jest mężatką. Mężatki nie robią takich rzeczy. Mężatki nie myślą o takich rzeczach.

Mimo to wiedziała, że musi go poczuć, jeśli ma żyć dalej tak jak dotychczas. Potrzebuje kogoś bliskiego. Nagle Pedro położył dłoń na jej prawym ramieniu. Viktoria dobrze wiedziała, że najwyższy czas, by pokazać mu, gdzie jego miejsce i ruszyć w drogę powrotną, ale nie potrafiła tego zrobić. Nie potrafiła i nie chciała. Podnosząc się, zwróciła ku niemu twarz i niemal natychmiast poczuła na ustach jego wargi. Musiał ją podtrzymać, żeby nie upadła. Potem pocałowali się jeszcze raz i jeszcze. Kiedy w końcu, raczej niechętnie, oderwali się od siebie, spojrzeli sobie w oczy. Pod wpływem ufnego spojrzenia Pedra Viktoria poczuła narastające w niej ciepło i pożądanie, którego tak bardzo jej brakowało. Odchyliła głowę i znów odwróciła do niego twarz, a jego usta znów, bez wahania, spotkały się z jej wargami.

„Tym razem – pomyślała Viktoria – naprawdę kosztuję zakazanego owocu. I dobrze mi z tym”.

*

Odtąd nie mogła się doczekać codziennej, przeważnie popołudniowej, przejażdżki. Z początku oboje byli jeszcze dość onieśmieleni. Całowali się w kryjówce Pedra, całowali się w wąwozie, który znał tylko on, całowali się na skraju andyjskiego pogórza. Całowali się, obserwując lamy i chłodząc stopy w potoku. Zespolili się z otaczającą ich krainą. Nikt ich nie widział. Nikt nie wiedział, co robią. Nikt ich nie śledził.

Pedro opowiadał Viktorii historie o tutejszej ludności i okolicy. Opowiadał baśnie rdzennych mieszkańców Andów, plemion Ajmarów i Keczua. Opowiadał o czasach sprzed najazdu Hiszpanów. Opowiadał o srebrze przewożonym z Potosi do portu w Buenos Aires. Opowiadał o drogach wyłożonych srebrem i o ubogich pijakach jedzących ze srebrnych naczyń. A potem znów zaczynali się całować.

Viktoria czasami myślała, że przynajmniej indiańska służba z Santa Celia musi się czegoś domyślać, ale milczała jak zakłeta. Rosita niekiedy uśmiechała się do niej, a mała Juanita dbała, by podczas posiłków trafiały się jej najsmaczniejsze kąski. Nie zapomniała, co młoda señora Santos dla niej zrobiła.

Zabrało im trochę czasu, zanim zdecydowali się pokazać sobie nago. Pedro zdjął spodnie, a potem koszulę. Viktoria w milczeniu obserwowała ruch jego mięśni dobrze widocznych pod smagłą skórą. Tu i ówdzie widniały jaśniejsze miejsca, gdzie najwyraźniej musiał się wcześniej zranić. Poczowała nagłą ekscytację, jej ciało przeszły dreszcz radosnego oczekiwania. Pedro też był podekscytowany – poznała to po niemal zawstydzonym spojrzeniu, które jej rzucił.

Z całą pewnością był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego spotkała. Zwlekała. Pedro ośmielił ją uśmiechem. Pomógł odpiąć guziki od sukni i poluzować tasiemki gorsetu, którego nie byłaby w stanie zdjąć samodzielnie. Wkrótce stanęła przed nim, skubiąc nieśmiało rąbek koszuli okrywającej falbanami nogi i ramiona. Ostrożnie wyciągnął szpilki z jej upiętych włosów, które po chwili opadły luźno na ramiona.

– *Muy guapa* – powiedział z uśmiechem.

Spojrzała na niego pytająco.

– *Tu eres linda*. Jesteś piękna, Viktorio. Niczego się nie bój.

Spuściła głowę. Nigdy wcześniej nie czuła się tak onieśmielona. A przecież to nie był jej pierwszy raz. Wszak była mężatką, miała dziecko. To nie noc poślubna, mimo to tak właśnie się czuła. Chciała, żeby tak było. Bardzo chciała. A jednocześnie wiedziała, że odtąd nie będzie już powrotu. Jeszcze była przyzwoitą żoną, jednak kiedy to zrobi, nie będzie już sposobu, by znów pojednać ją i Humberta.

Ale wiedziała również, że już od dawna nie ma niczego, co łączyłoby ją i jej męża. Owszem, piękne dni w Paryżu zachowa na zawsze w swojej pamięci, na kształt dagerotypów. Tych wspomnień nigdy nie straci. Jednak w Salcie ich drogi na dobre się rozeszły.

Odchyliła głowę, a Pedro spojrzał na nią zaskoczony.

– *Yo soy lindo* – powiedziała z uśmiechem.

– *Linda* – poprawił ją.

– *Linda* – powtórzyła i zsunęła z ramion koszulę.

Pomimo ciepła miała gęsią skórkę. Odwzajemniła spojrzenie Pedra i w następnej chwili poczuła na sobie jego rozgrzane ramiona. Czuła się tak bezpiecznie.

Tego dnia nie doszło jeszcze do niczego. Wystarczył im widok swoich ciał, na których igrały promienie słońca, wzajemny dotyk, pocałunki i bliskość.

Następnego wieczoru znów spotkali się w kryjówce Pedra. Wszelkie obawy zniknęły. Oswoili się ze sobą. Ufali sobie. Tym razem pozbyli się ubrań bez ociągania, potem Pedro wziął ją na ręce i zaniósł na słomiane posłanie. Pocałunki, którymi okrył całe jej ciało, wywołały w niej najpierw ciepło, a potem dreszcz przyjemności. Nie śpieszył się z wejściem w nią, a ona chłonęła jego pieśszoty, oddając się oszołomieniu wywołanemu jego dotykiem.

– Teraz – wyszeptała, kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać. – Teraz.

Pedro zrobił to, o co go prosiła. Wszedł w nią, doprowadzając ją do zwieńczenia, któremu oddała się całą sobą.

Wyczerpani leżeli obok siebie.

– Wy, kobiety, jesteście odważne – zamruczał. – Ja nie mógłbym nosić czegoś takiego. – Wskazał na gorset, oparty o ścianę naszym zbroja.

– Ja też wolałabym go nie nosić – odpowiedziała Viktoria i przewróciła się na plecy. Z błogim westchnieniem podłożyła sobie ręce pod głowę, a jej piersi wypięły się ku górze. – Moja babka opowiadała mi kiedyś, że za jej młodych lat nie nosiło się gorsetów. To musiały być czasy.

– Rzeczywiście. – Pedro wyszczerzył zęby i nachylił się nad nią, by znów usiać jej ciało pocałunkami.

– *Mi tesoro* – zamruczała, zanurzywszy palce w jego gęstej czarnej grzywie.

Przymknęła oczy. Poczowała usta Pedra na szyi, a potem znów na piersiach.

– *Mi preciosa* – wyszeptał – *mi preciosa*, moja piękna, moja piękna.

„Rozumiem go – pomyślała Viktoria nie pierwszy raz w tym dniu. – Miłość to naprawdę najlepszy nauczyciel języka”. Odkąd

spędzała czas z Pedrem, jej hiszpański znacznie się poprawił, nawet jeśli wolała to zachować dla siebie. Pedro pocałował ją jeszcze w ramię, po czym usiadł. Uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

– Ciekawe, co powiedziałyby doña Ofelia, gdybym wróciła bez gorsetu.

Wbrew jej przewidywaniom Pedro spoważniał. Sama poczuła, jak przesywa ją zimny dreszcz. Ich wspólny czas miał swoje granice. Ile jeszcze im go zostało?

ROZDZIAŁ 3

– Doprawdy, to nie wypada. Nie wypada postępować tak za-mężnej kobiecie. Musisz jej zabronić, nie może się tak wałęsać konno po całej okolicy. Należy do rodu Santosów. Ludzie zaczną gadać. Poza tym to zbyt niebezpieczne.

Doña Ofelia spojrzała z irytacją na synową, ta zaś, na tyle, na ile była w stanie, starała się zignorować owo spojrzenie. Jak gdyby nigdy nic nabrała sobie dulce de leche. Uwielbiała ten słodki krem, jednak na myśl, że dziś miałyby nie wybrać się na przejażdżkę, poczuła w gardle dławienie. Była jak ptak w klatce uderzający boleśnie skrzydłami o jej pręty. Musiała użyć całej siły woli, by spokojnie jeść dalej. Gwałtowniej niż kiedykolwiek wcześniej dotarło do jej świadomości, jak bardzo czuła się zniewolona, zanim w jej życiu pojawił się Pedro, zanim znów przypomniała sobie, czym jest wolność. Nie chce zostawać w domu. Chce spotkać się z Pedrem, chce poczuć jego ramiona, jego oddech na swojej skórze i sama znowu swobodnie oddychać.

– No powiedz jej – zażądała doña Ofelia jeszcze bardziej skrzekliwym głosem.

Zobaczyła, jak Humberto niechętnie podnosi głowę. Przeszło jej przez myśl, że zrobił się taki ociężały. Nigdy by nie pomyślała, że mógłby kiedyś stać się tak niemrawy. Gdzie podział się tamten

szczupły, przystojny mężczyzna, którego kiedyś pokochała, ognisty Amerykanin, który zawrócił jej w głowie w Paryżu? Teraz był gruby, twarz miał nalaną i... starą. O tak, zrobił się stary. Dobrze wiedziała, że najchętniej w ogóle nie widywałby się z żoną, ale nie chciał się sprzeciwiać matce. Widziała w jego oczach, jak bardzo chciał się jej przypodobać – i jedynie tego się bała.

– Twoja małżonka zaniedbuje obowiązki – ciągnęła teściowa. – Nie można pobłażać służbie i pozwalać, żeby robiła, co zechce. Służba wymaga rozkazów, inaczej staje się leniwa i bezczelna.

– Oczywiście, matko.

Humberto rzucił żonie krótkie, umęczone spojrzenie.

„Zrób coś – zdawało się mówić – zrób, czego ona wymaga, żebyśmy oboje mieli święty spokój”.

Viktoria już chciała odpowiedzieć, że to bynajmniej nie ona zarządza służbą, lecz doña Ofelia, która wszak ani myśli pozbywać się tego obowiązku, ale w porę ugryzła się w język. Doña Ofelia nie myślała o tym, by zakończyć wojnę, którą toczyła z synową od chwili jej przybycia. Przed poznaniem Pedra Viktoria nieraz miała ochotę wykrzyczeć jej całą swoją złość. Ale już nie teraz.

Teściowa zupełnie przestała ją obchodzić.

Skupiwszy się, nabrała jeszcze jedną łyżeczkę deseru. Nie mogła sobie pozwolić na lekkomyślność. Może lepiej zrezygnować z przejażdżek na dzień albo dwa, aż wszystko się uspokoi. Spędzi w Santa Celia dwa nudne popołudnia, najlepiej w łóżku, o ile nie przyjedzie ktoś z wizytą. Wtedy trzeba będzie wyjść z pokoju.

Po raz drugi poczuła dławienie. Myśl, że przez dwa dni nie zobaczy Pedra, była bardzo bolesna. Czuła, jak gdyby nagle zabrakło jej tchu.

*

Niestety nie było jej dane spędzić większości owych dwóch dni w pokoju albo na spacerze. Już po południu zjawił się z wizytą don Euphemio, daleki krewny Ofelii z estancji Sanchez.

Było to jedno z tych rozwlekłych popołudni, które niezależnie od pory roku zawsze przebiegały tak samo. Damy jadły ciasteczka i popijały je herbatą, a mężczyźni rozprawiali o sprawach z dalekiego świata. Viktoria wielokrotnie musiała tłumić ziewnięcie. I tak była już potwornie znudzona, a Euphemio Sanchez ze swoimi opowieściami nudził ją jeszcze bardziej. Niestety nie było mowy o opuszczeniu towarzystwa. Jako dama musiała się uprzejmie przysłuchiwać. Chyba że uda ból głowy.

Po raz kolejny uśmiechała się udręczona znad swojej filiżanki w stronę czterdziestoletniego don Euphemia, który stroszył piórka. Czasami naprawdę musiała się bardzo powstrzymywać, by nie wybuchnąć śmiechem na widok tego bufona. Cóż oni mogą wiedzieć o świecie, przecież nigdy nie wychylili nawet nosa ze swoich wygodnych domostw, nigdy nie poznali innego świata. Za to ona... No tak, ale nikt nie chciał jej słuchać. Jest tylko kobietą, nie może mieć nic do powiedzenia.

Znów powstrzymała ziewnięcie, obserwując przy tym, jak don Euphemio gładzi się po swojej wypomadowanej brodzie, jak się puszy, tocząc dokoła wzrokiem, by sprawdzić, czy budzi pożądane zainteresowanie. Był raczej niskiego wzrostu, za to okazałej tuszy. W jego oczach połyskiwały jakieś podstępne iskierki.

„Pedro go nie lubi”, przypomniała sobie.

– Opowiadaj dalej, drogi Euphemio – poprosiła przymilnie doña Ofelia. – Słyszałam, że właśnie wróciłeś z podróży do Patagonii.

„Ach – Viktoria sięgnęła po filiżankę – a więc ten kogucik opuścił jednak swoje pielesze i wypuścił się tak daleko. Aż do samej Patagonii”.

Próbowała odnaleźć w pamięci, co słyszała o tamtych stronach, ale nie potrafiła sobie niczego przypomnieć, choć na Kosmosie na pewno o nich rozmawiali. Zapyta Juliusa, kiedy ten nareszcie znów ją odwiedzi. Ostatnim razem widzieli się trzy miesiące temu.

Don Euphemio, sięgnąwszy po empanadę, nadziewany rogalik, ugryzł go, po czym przemówił:

– Ach, sam nie wiem, droga doñio Ofelio, od czego by tu zacząć i co w ogóle nadaje się dla damskich uszu.

„Wielkie nieba – pomyślała Viktoria – czyżby istniała szansa, że nie zanudzę się tu na śmierć? A ten jeszcze się kryguje jak stara baba”. Odstawiła filiżankę i wyczarowawszy uśmiech na twarzy, obróciła się do gościa.

– Ach, proszę, niech pan opowie, bardzo czekamy – rzuciła z zaciekawieniem.

Nie zaszczyliła przy tym spojrzeniem teściowej, która zago-towała się wręcz z powodu takiego wybryku synowej. Istniało tyle reguł, nie była przecież w stanie przestrzegać wszystkich, a już na pewno nie składała ślubów milczenia. Może tym razem odrobinę się jej poszczęści i to popołudnie nie okaże się nużące.

Tak czy inaczej don Euphemio spojrzał na nią z ukontentowaniem. Najwyraźniej pochlebiało mu, że wzbudził zainteresowanie u pięknej jasnowłosej kobiety. Przez chwilę zastanawiał się chyba, od czego zacząć, potem zaś rzucił:

– No więc oczywiście widziałem dzikusów.

– Dzikusów? – Viktoria spojrzała na niego pytająco.

– Indian. – Euphemio wyprężył pierś. – Ale nie takich niegroźnych jak ci tutaj. Tam żyją prawdziwe dzikusy, trzeba się mieć na baczności, żeby nie skończyć w jakimś garnku z poderżniętym gardłem.

– Don Euphemio! – zawołała doña Ofelia, kręcąc głową. – Czy to odpowiednia opowieść dla dam?

Euphemio, który najwyraźniej dostał skrzydeł, ciągnął dalej:

– Mapucze, jak nazywa się jedno z plemion owych dzikusów czczą siedem bóstw.

– Siedem bóstw! – Teraz to Viktoria otworzyła szeroko oczy.

– Jakież to niecywilizowane! – rzuciła doña Ofelia z odrazą.

– O tak, droga Ofelio. – Don Euphemio spojrział na nią z powagą. – Doprawdy sam nie wiem, czy to właściwy temat dla dam. Może porozmawiamy raczej o bardziej budujących sprawach.

„O nie!”, chciała wykrzyknąć Viktoria, jednak zamiast tego spuściła tylko skromnie głowę.

– W młodości spędziłem wśród Mapuczów parę tygodni – odezwał się tymczasem don Ricardo, który dołączył do nich, kiedy don Euphemio kończył ostatnie zdanie. – To rzeczywiście dziki lud i jak to zwykle z takimi bywa, nasuwa się pytanie, czy przystosują się do nowoczesnego świata, czy prędzej wyginą.

– Mnie nasuwało się raczej pytanie – przerwał mu don Euphemio – czy to naprawdę ludzie, czy może raczej istoty na wcześniejszym etapie rozwoju.

– Jestem pewna, że musiał się pan pomylić – wyrwało się Viktorii. Z oburzeniem zerwała się z miejsca.

Istoty na wcześniejszym etapie rozwoju? Kim w takim razie są Rosalia, Rosita, Juanita i pozostali? Zwierzętami? Doña Ofelia rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie, ale ona postanowiła nie zwracać na nie uwagi.

Gość tymczasem spoglądał na nią ze zdumieniem i odrobiną niechęci, jak gdyby rozgniewało go, że wyraziła swoje zdanie.

– Proszę mi wybaczyć.

Choć spódnica jej sukni była imponująco szeroka, jakoś udało się jej dobrać do drzwi, nie wyrządziwszy po drodze żadnych szkód. Kiedy znalazła się na korytarzu, zaczęła biec. Wcale nie chciała się tak unieść, ale nie potrafiła inaczej. Nie po raz pierwszy świat, do którego trafiła, budził jej wściekłość. Otworzyła drzwi do pokoju i zatrzasnęła je za sobą z impetem. Stała niezdecydowana.

I co ma teraz zrobić? Nie ma tu nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, czego w tej chwili potrzebowała najbardziej. Po chwili zastanowienia usiadła za biurkiem i poprawiłszy stalówkę pióra, otworzyła szufladkę z zapasem papieru. Napisze do rodziców. Przez moment spoglądała z irytacją na niewielki stosik listów, które sama otrzymała. Układała je w porządku chronologicznym, ale tego z okresu Bożego Narodzenia, który leżał na wierzchu – była tego pewna – brakowało teraz na swoim miejscu.

Ale może się pomyliła? Kto miałby grzebać w tych niewinnych listach?

– Ty brudny metyski pomociu!

Ryk Humberta, który rozległ się na dziedzińcu, dotarł aż do pokoju śpiącej Viktorii. Natychmiast zerwała się na równe nogi. Co tam się dzieje? Było jeszcze wcześniej, według jej szacunków nie wybiła nawet ósma. Ostatnio Humberto wstawał dopiero koło południa, zwłaszcza gdy odwiedzał burdel, gdzie pił i zabawiał się z dziwkami. Jednak tym razem musiał się zbudzić nawet przed nią.

– Ty sukinsynu!

Rozległy się kolejne krzyki, tym razem złożone z większej liczby słów, których nie zrozumiała i które z pewnością nie były przeznaczone dla uszu damy. Szukając stopami rannych pantofli i sięgając po szlafrok, usłyszała coś na kształt *puta*.

Put to słowo, którego rzeczywiście nie powinna była znać. Rosita przetłumaczyła je dopiero na jej liczne i usilne prośby. *Put* znaczyło „kurwa”. Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi wychodzących bezpośrednio do ogrodu i otworzyła je. Nie mogła czekać na ubranie. Musiała się dowiedzieć, co tam zaszło. Już od dawna miała złe przeczucia.

– *Hijo de puta*, ty skurwysynu! – rozległo się znów na podwórzu.

Viktoria nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy widziała Humberta tak rozjuszonego. Przeważnie był zanadto ospały i niezbyt skłonny do jakichkolwiek działań.

Zarzuciła na siebie szlafrok i zapięła go w biegu. Włosy miała splecione w gruby warkocz sięgający jej talii. Kiedy skręciła za róg i znalazła się na dziedzińcu, musiała najpierw odszukać Humberta wzrokiem, bo okazało się, że nie ją jedną zwabiły tu jego wrzaski. Obok parobków stały służące i pokojówki z domu. Posłaniec z sąsiedniej estancji zapomniał nawet oddać przesyłkę i stał teraz, gapiąc się na całe widowisko.

– Młoda seño! – zawołał jeden ze stajennych.

Wtedy i ona to zobaczyła. Humberto, trzymając w uniesionej ręce pejcz, przypierał do ściany Pedra. Musiał mu już wcześniej wymierzyć cios, ponieważ na lewym policzku mężczyzny widniała krwawa szrama. Viktoria poczuła, jak kolana się pod nią uginają. Zdołała jednak ustać na nogach. Czy ktoś ich wydał? Czy Humberto dowiedział się o wszystkim od Pedra? Nabrawszy tchu, zbliżyła się do obu mężczyzn, którzy popatrzyli na nią w tej samej chwili. Humberto z konsternacją, Pedro beznamiętnie.

– Co ty tu robisz? – naskoczył na nią mąż.

– Ja – Viktoria usłyszała, jak jej głos drży – usłyszałam hałasy.

– I jak ty wyglądasz?

Kręcąc głową, Humberto zmierzył ją spojrzeniem. Viktoria z trudem odwróciła wzrok od Pedra. Poza rozciętym policzkiem chyba nic mu się nie stało.

– Załóż coś na siebie! – rozkazał mąż, znów rzucając jej takie spojrzenie, jak gdyby stała przed nim kompletnie naga.

Jednak Viktoria nie zamierzała odchodzić, zanim nie dowie się prawdy.

– Co tu się stało? – zapytała.

Humberto chyba nie rozumiał, czego od niego chce.

– Co tu się stało? Ukaralem swojego pracownika, ale nie sądzę, żebym musiał ci się z tego tłumaczyć, droga małżonko...

Rzucił przy tym Pedrowi spojrzenie tak przepelnione nienawiścią, że Viktoria poczuła strach. To nie była zwyczajna złość na leniwego pracownika, to była czysta, niepohamowana nienawiść. Poczula, jak po plecach przechodzą jej ciarki. Co takiego zaszło między nimi i przede wszystkim, o czym nie powiedział jej Pedro. Poczula taki sam niepokój, jaki ogarnął ją, kiedy zorientowała się, kto jest adresatem wrzasków Humberta. Czegoś ważnego jeszcze nie wiedziała. Czegoś, co łączyło tych dwóch mężczyzn.

– A co takiego przeskrobał twój najlepszy człowiek, Humbencie?

Nikt nawet nie zauważyli, kiedy dołączył do nich don Ricardo, który wyszedł ze starych zabudowań. Siwowłosy patron rzucił najpierw zdawkowe spojrzenie synowej, po czym popatrzył na syna. Humberto szukał odpowiednich słów, ale ojciec go uprzedził.

– Nic poza tym, że był lepszy od ciebie, nieprawdaż?

Pogarda w głosie don Ricarda sprawiła, że nawet Viktoria się skuliła. Wcześniej sądziła, że widok Humberta w podobnej sytuacji sprawi jej przyjemność, lecz się myliła. Taka pogarda ze strony własnego ojca jest okrutnie bolesna. Ojciec okazywał jej zawsze wyłącznie miłość. Miłość, która ją uskrzydlała i dawała poczucie bezpieczeństwa. To dzięki niej była zdolna wyruszyć do Nowego Świata. Wiedziała też, że ojciec zawsze przyjmie ją z otwartymi rękami, niezależnie od tego, co by zrobiła. Tak bardzo za nim tęskniła.

Humberto skrzyżował ramiona na piersi, ale wyglądał tak, jak gdyby uszło z niego całe powietrze.

– Cabezas pracował za wolno. A wczoraj zniknął na kilka godzin.

– Na estancji zawsze jest coś do roboty, nawet tam, gdzie trzeba daleko jechać. Powinieneś o tym wiedzieć. – Don Ricardo obrzucił syna lekceważącym spojrzeniem. – Ale ty wolisz marnotrawić czas z kamratami i swoimi przekłętymi dziwkami. Kiedy ostatnim razem wstałeś o świcie? No kiedy?

Stary Santos podszedł do syna i klepnął go w pierś tak, że ten zatoczył się do tyłu.

– Ojczy, ja...

Viktoria chciała dać Pedrowi jakiś znak, żeby odszedł. Bo gdyby stało się to, czego się obawiała – gdyby don Ricardo upokorzył syna na oczach Pedra – Humberto jeszcze bardziej by go znienawidził. Ale było już na to za późno.

– Ty mięczaku, ty gadzie – wybuchł Ricardo. – Matce możesz mydlić oczy, ale nie mnie! Rozumiesz, nie mnie!

Kolejne pchnięcie powaliło Humberta na ziemię. Spojrzanie, które zdążył w tej samej chwili rzucić Pedrowi, przeraziło Viktorię.

Don Ricardo wyciągnął palec w stronę syna.

– Dopóki żyję i chodzę po tym świecie, Pedro Cabezas jest moim podwładnym, zrozumiałeś? Trzymaj się od niego z daleka, bo inaczej pożałujesz.

Następnie odwrócił się do Viktorii.

– Muszę z tobą porozmawiać.

*

Myśli wirowały w głowie Viktorii jak szalone, gdy podążała długim korytarzem za teściem aż do jego gabinetu. Z jakiego powodu chciał z nią rozmawiać? Czy wiedział o Pedrze? A może czymś się zdradziła? Przetykała nerwowo ślinę. Kiedy drzwi od gabinetu zamknęły się za nią z cichym trzaskiem, jej gardło było tak wysuszone, że niemal zabrakło jej tchu. Jeżeli don Ricardo

spojrzy na nią teraz, domyśli się, że coś jest nie w porządku. Jeżeli teraz spojrzysz...

Ale on na nią nie patrzył. Podeszedł do małego stolika, na którym stał srebrny dzbanek.

– Kawy? – zapytał, rzucając w jej stronę zdawkowe spojrzenie.

Kiwnęła głową w milczeniu. Nie była bowiem pewna, czy może zaufać swojemu głosowi. Don Ricardo nalał kawy do filiżanki i postawił ją na stoliku.

– Proszę – powiedział i popatrzył na nią.

Viktoria podeszła z wahaniem do stolika, ale wyciągnąwszy rękę, zatrzymała ją w pół drogi. Dopiero kiedy Ricardo odwrócił się do niej plecami, żeby przejść do biurka, wzięła filiżankę. Ręce lekko jej się trzęsły, wzięła głęboki oddech. Gdy teść usiadł, znów na nią popatrzył, lecz zdążyła już zapanować nad drżeniem i spokojnie piła kawę. Z dumnie podniesioną głowę czekała na to, co don Ricardo ma jej do powiedzenia.

Ten zaś, gładząc się po wąsach, przyglądał się Viktorii bez słowa. Potem chrząknął.

– Widziałem, jak patrzysz na mojego syna – odezwał się w końcu – i podziwiam twoją postawę. On jest...

„A więc wie, że Humberto jest mi obojętny – przemknęło jej przez głowę. – To mądry człowiek muszę się mieć przed nim na baczności”.

– No cóż – ciągnął dalej – Bóg wie, że to nie jest syn, o jakim marzyłem. Jest tchórzem. Jest leniem i z całą pewnością kłamcą.

Viktoria zmarszczyła czoło.

– To mój mąż, don Ricardo, wiem, co do mnie należy.

– Tak, w rzeczy samej. – Zza sterty książek wyjął butelkę i nalał do kieliszka coś, co przypominało rum. – Jesteś bardzo dyskretna – dodał.

Tym razem nie potrafiła ukryć rumieńca.

– Nie rozumiem.

Don Ricardo podniósł kieliszek do ust i wychylił go, zanim znów się odezwał.

– Nie jesteś głupia, Viktorio, i nie obrażaj też mojej inteligencji. Może rumu? – Zanim zdążyła coś powiedzieć, sięgnął po drugi kieliszek, nalał jej, po czym mówił dalej. – Zgoda, wysłaś za Humberta, co moim zdaniem było raczej głupotą, ale pomijając tę sprawę, nie popełniłaś dotąd ani jednego błędu.

Zakołysał kieliszkiem i wypił kolejny łyk. Viktoria z konsternacją zamoczyła usta w rumie. Poczowała pieczenie w gardle. Zakasłała. Don Ricardo znów pogłaskał wąsy.

– Ja też byłem raz zakochany – powiedział i wyjrzał przez okno, przez które wpadały do środka promienie wczesnego słońca. – Nazywała się Carmencita. Było takie lato, kiedy wprost nie mogłem się doczekać, żeby opuścić Santa Celia i się z nią zobaczyć. Wciąż o niej myślałem, w dzień i naturalnie w nocy.

Viktorii wydało się przez moment, że głos starszego mężczyzny drży. Ale chyba nie o tym chciał z nią porozmawiać?

– Nazywała się Carmencita i pochodziła z plemienia Ajmarów. – Oczy Ricarda się rozjaśniły. – Przeżyłem z nią niezapomniane lato, tam, na pogórzcu. Nic nie jest w stanie temu dorównać. Byłem młody, niczym się nie przejmowałem. Byłem z kobietą, którą kochałem i która kochała mnie, niczego ode mnie nie oczekując. Chyba po raz pierwszy w życiu byłem szczęśliwy. – Jego spojrzenie znów stało się poważne. Popatrzył na Viktorię. – Później nigdy już nie spotkałem równie serdecznej osoby.

Teraz była pewna, że jego głos drży. Jednak kiedy znów się odezwał, mówił już pewnie. Wcześniej znów nalał sobie rumu i wypił go jednym haustem.

– Była matką Pedra.

To znaczy, że on... że Pedro jest synem don Ricarda? Viktoria przełknęła ślinę. I bratem przyrodnim Humberta? Czy oni o tym wiedzą?

Starszy pan, jak gdyby czytając w jej myślach, pokręcił głową.

– Humberto nie ma o niczym pojęcia. Nigdy mu o tym nie powiedziałem. A Ofelia... – Wzruszył ramionami. – Pobraliśmy się niedługo potem. Moi obaj synowie urodzili się w tym samym roku. A co wie albo czego domyśla się Pedro...

Ponownie wzruszył ramionami i odstawivszy kieliszek, spojrział w dal.

– Carmencita była najpiękniejszą, a zarazem najdziwniejszą kobietą w moim życiu. Indianie nie tylko wyglądają inaczej niż my. Wierzą też w inne rzeczy. Oczywiście modlą się do Boga, ale czczą też Pachamamę, wielką Matkę Ziemię. Pewnie tak musi być w świecie, w którym żyją, w Andach, gdzie wieją silne wiatry, panują wielkie chłody i upały, a życie człowieka nierzadko wisi na włosku. Co im po jednym bogu? – Uśmiechnął się. – Nic nas nie łączyło, a mimo to Carmencita otworzyła przede mną swoje serce, a ja przed nią swoje.

Don Ricardo znów zapatrzył się w dal, wodząc palcem, niekiedy z piskiem, po brzegu kieliszka. Viktoria odstawiała swój rum na stolik.

– Co się z nią stało? – W końcu odważyła się przerwać milczenie.

– Umarła.

Wcześniej mówił o swojej miłości z wielką czułością, ale ostatnie słowo zabrzmiało bardzo lakonicznie. Zastanawiała się, ile miał wtedy lat i co takiego musiało się stać, że się tak zmienił.

– Mam nadzieję, że mnie teraz rozumiesz, synowo – powiedział po dłuższej chwili. – Widziałem, jak patrzysz na mojego syna. Wiem też, że do tej pory byłaś ostrożna i chciałbym ci

radzić, abys dalej zachowała ostrożność. Dlatego nie zobaczysz się już nigdy z Pedrem. A gdybyś chciała się przeciwstawić moim nakazom, konsekwencje dotkną jego. Wprawdzie nic mu nie zrobię, ale zadbam, żebyście już nigdy więcej się nie spotkali. Mam liczne ziemie, nie tylko tutaj, na innych estancjach również potrzebni są pracownicy. Poza tym wciąż dokupuję nowe tereny. Tu, w górach, ziemia jest tania. Czy wyraziłem się jasno?

Viktoria poczuła, jak robi jej się słabo. Kiwnąwszy głową, wstała bez słowa i pośpiesznie wyszła z gabinetu teścia.

*

Wieczorem Humberto nawet nie próbował kryć się ze swoimi zamiarami. Najpierw zabawiał się w Salcie, następnie wrócił do domu w towarzystwie jednej z panienek. Zajechał powozem na dziedziniec, ryknął na służącego, po czym wysiadł. Jego ramienia uwieszała się pijana i chichocząca młoda kobieta. Była drobna i szczupła, o smagłej skórze i zbyt ciemnych kędzierzawych włosach, ale sprawiła mu wiele przyjemności. Zobaczywszy ją na ulicy, ocenił, że może mieć najwyżej dwadzieścia lat. Jej suknia nawet w słabym świetle latarni wydawała się krzykliwie kolorowa. Pociągnął za piórko nandu zdobiące jej słomkowy kapelusz.

– Uważaj – zganiła go dziewczyna. – Uważaj, nie był tani.

– Mogę ci kupić sto takich kapelusików – odparł Humberto.

Jego wzrok powędrował w stronę dawnych zabudowań, gdzie w oknach gabinetu ojca jeszcze paliło się światło. W rzeczywistości nie miał nic, ale ta mała, którą teraz oblaśniał, o tym nie wiedziała. Widziała, jak płacił w barze, łypała chciwym oczkiem, kiedy zamawiał najdroższe wino, i słuchała uważnie, kiedy opowiadał o podróżach po Europie. Wiedziała naturalnie, że Humberto pochodzi z estancji Santosów, ale już nie to, jak krótko trzyma go ojciec – i nie dowie się, jeśli uda mu się temu zapobiec.

Dla niej był księciem, królem, samym chińskim cesarzem. Dla niej był bogatym, a dzięki temu przystojnym i wartym grzechu mężczyzną. Ustawił ją plecami do starego domu i pocałował, nadal jednak nie spuszczać wzroku z okien gabinetu.

„Nienawidzę go – myślał. – Jak ja go nienawidzę”.

Jeszcze nigdy dotąd nie pozwolił sobie na taką myśl, ale to zajście z Cabezasem wszystko zmieniło. Ojciec go ośmieszył i to w obecności prostego parobka. Najchętniej zaraz potem pobiegłby do matki, ale na myśl o jej litości czuł jeszcze większą wściekłość. Pójdzie do niej jutro, żeby lizać rany. Położy głowę na jej kolanach, a ona go po niej pogłaszcze jak dawniej, kiedy był małym chłopcem. I usłyszy od matki, jaka spotkała go krzywda. Jeszcze silniej wpił się teraz w usta małej dziwki i przyciągnął ją do siebie. Biła od niej woń cebuli, chili i tanich perfum. Była prostą dziewczyną z biednego burdelu z południowej części Salty. Nie była wiele warta.

Objął ją i pociągnął w stronę domu, napawając się przy tym jej bezradnością, gdy się potknęła i szukała w nim oparcia.

– Chodź, skarbie. Pójdziemy do pokoju, napijemy się wina i pogadamy jeszcze o Europie – szepnął jej do ucha. – A rano mój służący cię odwiezie.

– Z przyjemnością, don Humberto.

Przycisnął ją mocniej, tak mocno, że próbowała się wyrwać. A wtedy znów ją pocałował.

– Chyba się mnie nie boisz, maleńka?

– Dlaczego miałabym się bać, don Humberto?

Widział jednak, że jest inaczej. Widział strach w jej oczach. Była tu całkiem sama. Tylko ona i on. Do miasta daleko. Chyba czuła się trochę nieswojo.

– No właśnie, dlaczego miałabyś się mnie bać? – Pogładził ją po policzkach. Nikt nie powinien się bać.

Wczesnym rankiem Humberto zasnął tak twardym snem, że dziewczyna odważyła się wstać z łóżka. Było ciepło, jednak poczuła dreszcze. Po cichu, niemal bezszelestnie włożyła sukienkę. Potem spojrziała na śpiącego. Wyglądał dobrze. Czysto. Dostatnio. Spodobał się jej od razu, gdy spostrzegła go w barze, lecz z chwilą kiedy tu przyjechali, zmieniła zdanie. Zazwyczaj była ostrożna, ale wczoraj to był pierwszy porządny klient, a ona potrzebowała pieniędzy dla siebie i dziecka. Zostało na wiele godzin samo i pewnie było wystraszone jej nieobecnością.

W każdym razie nie zamierzała czekać, aż ten tu się obudzi. Postanowiła wracać do Salty pieszko. Najpierw zajrzy do dziecka, a potem zobaczy się z przyjaciółkami, z którymi umówiła się na spotkanie podczas procesji ku czci Señor de los Milagros, Pana od Cudów, będącej ukoronowaniem wrześnieowych uroczystości. Uwielbiała tłumy wiernych modlące się w katedrze i w otaczających ją uliczkach. Kiedy wyniosą z niej obrazy świętych, ona też będzie się modlić. Będzie się modlić o pomyślność w nowym roku i żeby nie musiała głodować.

Rozejrzała się. Oczy zdążyły już się oswoić z półmrokiem. Pokój don Humberta był urządzone ze smakiem. Dotknęła drogiej tkaniny, z której uszyto marynarkę, rzuconą niedbale na krzesło. Popatrzyła na dwie szklanki z rumem. Jego była pusta, w jej połyskiwała jeszcze złocista reszтка. Palce przesuwają się powoli po materiale, aż wyczuły wypukłość – portfel. Zwinnie wyłowiła go z kieszeni i zajrzała do środka. Opuszki dotknęły srebrnych monet i banknotów, *pesos fuertes*. Nie zaszkodzi wziąć sobie co nieco, oczywiście nie wszystko, to byłoby nierozsądne, wystarczy kilka monet w ramach zapłaty.

Gdy pieniądze zniknęły w kieszeni jej spódnicy, postanowiła, że jedno całe peso przeznaczy na świecę w katedrze. Następnie

przekradła się do drzwi wychodzących na werandę. Wydawało jej się, że tędy będzie bezpieczniej niż przez cały dom. Co powiedziałyby, gdyby się na kogoś natknęła? Ostrożnie wymacała klamkę. Kiedy ją nacisnęła, rozległ się lekki zgrzyt, jednak śpiący mężczyzna nawet się nie poruszył.

Znalazłszy się na werandzie, zaczerpnęła powietrza. Było ciepło, a od ogrodu docierał do niej rześki zapach kwiatów. Cichutko zbiegła po schodach i skierowała się na pierwszą napotkaną ścieżkę prowadzącą od zabudowań. Wprawdzie pochodziła z miasta, ale na pewno musiało jej się jakoś udać odnaleźć drogę do Salty.

Im dalej była od domu, tym czuła się swobodniej. Kąciuki ust uniosły się w uśmiechu. Bose stopy dotykały piasku, ziemi i trawy. Znow pomyślała o przyjaciółkach i o tym, jak się zdziwią, kiedy pokaże im pieniądze. Ile może im powiedzieć? Była tak zatopiona w myślach, że kiedy zobaczyła stary młyn, miała wrażenie, iż wyrósł przed nią nagle jak spod ziemi. Wyglądało na to, że od lat nikt z niego nie korzystał i właściwie był już tylko ruiną. Opuściła dłoń, którą uniosła przed chwilą do lewej piersi, aby opanować przyśpieszone bicie serca. Kiedy z cienia wyłoniła się jakaś postać, omal nie krzyknęła. To była kobieta. Starsza, dobrze ubrana, o pięknych harmonijnych rysach twarzy.

– Kogo my tu mamy? – usłyszała jej dystyngowany głos.

Dziewczyna zorientowała się, że poszła w złą stronę, ale było już za późno, by uciec.

*

Parę dni po rozmowie z don Ricardem Viktoria zbudziła się w środku nocy z niespokojnego snu. Panował skwar. Powietrze w jej pokoju zdawało się stać. Pierwszy zwiastun

nadchodzącego lata. Na zewnątrz było cicho. Usiadła i nalała sobie wody z karafki ze stolika stojącego obok łóżka. Choć Rosita napełniła ją zaledwie wieczorem, woda już miała stęchły posmak. Podobnie jak w ciągu ostatnich nocy teraz znów męczyły ją złe sny, ale nie była w stanie przypomnieć sobie ani jednego szczegółu. Rozmowa z teściem nie dawała jej spokoju. Nie miała od tamtej pory okazji, by porozmawiać o niej z Pedrem. Tymczasem, jak powiedziała jej Juanita, uśmiechając się przy tym wymownie, za niespełna tydzień miał wyruszyć na inspekcję stad owiec gdzieś w dalszych okolicach.

Pomyślała, że nie zobaczy go przez wiele tygodni.

Odchyliła rękę, aby unieść z karku spocone włosy. Nagle poczuła w gardle kwaśny, gryzący smak. Na szczęście zdążyła w porę wyskoczyć z łóżka i dobiec do miednicy. Po chwili dygotała, stojąc zgięta wpół nad naczyniem, z którego docierał do jej nozdrzy odór wymiocin.

Co się z nią dzieje? Znowu zaszkodziła jej kolacja? A może zjadła coś nieświeżego? Nie, raczej nie, a może...?

„O Boże. – Viktoria przymknęła oczy. Następnie wyprostowała się i powlokła z powrotem do łóżka. – O Boże” – powtórzyła w myślach. Tak samo zaczęło się przy Estelli. To mogło oznaczać tylko jedno. Na myśl o tym zabrakło jej tchu.

„Jesteś w ciąży”, rozległo się w jej głowie.

Przez chwilę siedziała w bezruchu, po czym opadła na bok. „Jesteś w ciąży – usłyszała znowu głos. Ukryła twarz w dłoniach. – Jesteś w ciąży”. To nie mogło być dziecko Humberta, bo ten nie zbliżył się do niej od co najmniej pół roku. Co ma teraz zrobić? Koniec końców po rozważeniu wszystkich możliwych wariantów uznała, że musi odwiedzić łóżo małżonka.

*